



Joseph Conrad

Lord Jim



NEXTO - KLASYKA LITERATURY

Przedmowa autora

Gdy powieść ta po raz pierwszy ukazała się w druku, rozeszła się pogłoska, że jej temat mię poniosł. Niektórzy z recenzentów utrzymywali, iż utwór, pomyślany z początku jako nowela, rozrósł się wbrew intencjom autora. Paru krytyków odkryło i w treści książki stwierdzenie tego faktu, który wydał im się zabawny. Wskazywali na granice określone formie narracyjnej. Dowodzili, iż nikt nie mógłby przez tak długi czas opowiadać ani też słuchać tak długo. Uważali, że to nie jest zbyt wiarygodne.

Myślałem nad tą sprawą przez jakieś szesnaście lat i nie zdaje mi się, aby owi krytycy mieli słuszność. Wiadomo, że – i pod zwrotnikami, i w klimacie umiarkowanym – ludzie siadają nieraz późno w noc, „snując opowieści”. Wprawdzie Lord Jim jest tylko jedną opowieścią, ale zachodzą w niej przerwy dające możliwość odpoczynku; a jeśli chodzi o wytrzymałość słuchaczy, trzeba przyjąć założenie, że opowieść była zajmująca. Jest to hipoteza zasadnicza i konieczna. Gdybym nie uważał tej historii za interesującą, nie mógłbym zacząć jej pisać. Co się zaś tyczy fizycznej możliwości jej opowiedzenia, wszyscy wiemy, że zdarzały się mowy w parlamencie trwające blisko sześć godzin; tymczasem całą część książki, która stanowi opowiadanie Marlowa, można przeczytać głośno – powiedzmy – w mniej niż trzy godziny. Przy tym omijałem starannie wszystkie błahy szczegóły w powieści, należy więc przypuszczać, że owego wieczoru podawano jakieś orzeźwiające napoje – na przykład szklankę wody mineralnej od czasu do czasu – co ułatwiało Marlowowi opowiadanie.

Ale – mówiąc poważnie – prawdą jest, że moim pierwotnym zamierzeniem była nowela mająca za temat tylko statek z pielgrzymami – i nic więcej. Był to pomysł zupełnie uzasadniony. Napisałem kilka stron, które mnie z jakiegoś powodu nie zadowoliły, i na pewien czas odłożyłem pracę. Nie wyjmowałem tych kartek z szuflady, póki mi nie żyjący już William Blackwood nie przypomniał, iż powinienem dać coś znowu do jego przeglądu.

Dopiero wtedy sobie uświadomiłem, że epizod ze statkiem wiozącym pielgrzymów jest dobrym punktem wyjścia dla swobodnej, rozległej opowieści; że przy tym wypadek tego rodzaju mógłby z całym prawdopodobieństwem na całe

życie zaważyć na „samopoczuciu” prostego i głęboko czującego człowieka. Ale z tych wszystkich przedwstępnych nastrojów i poruszeń ducha słabo zdawałem sobie wówczas sprawę, a i teraz nie wydaje mi się to jaśniejsze po upływie tylu lat.

Owych kilka kartek, które odłożyłem, nie było dla mnie bez znaczenia przy wyborze tematu. Lecz wszystko zostało z rozważą napisane na nowo. Gdy zasiadłem do pracy, wiedziałem, że będzie to długa książka, choć nie sądziłem, że się rozciągnie aż na trzynaście numerów przeglądu.

Zapytywano mnie nieraz, czy Lord Jim jest najulubieńszą mą książką. Jestem wielkim wrogiem wszelkiego faworyzowania tak w życiu publicznym, jak i prywatnym, a nawet w delikatnej dziedzinie stosunku autora do własnych dzieł. Z zasady nie chcę mieć ulubieńców; nie posuwam się jednak tak daleko, aby mię gryzło lub martwiło, gdy niektórzy dają pierwszeństwo Lordowi Jimowi. Nie powiedziałbym nawet, że „to jest dla mnie niezrozumiałe...” Nie! Jednakże raz usłyszałem coś, co zdumiało mnie i zaniepokoiło.

Jeden z moich przyjaciół, bawiąc we Włoszech, rozmawiał tam z pewną panią, której się Lord Jim nie podobał. Przykre to oczywiście, ale co mię zaskoczyło, to przyczyna jej niechęci do książki. „Wie pan – powiedziała – tam wszystko jest takie chorobliwe.”

Orzeczenie to dało mi materiał do niespokojnych rozmyślań na jaką godzinę. Doszedłem ostatecznie do wniosku, że wzięwszy nawet pod uwagę okoliczności łagodzące – bo sam temat jest raczej obcy dla przeciętnej kobiecej wrażliwości – owa pani nie mogła być Włoszką. Ciekaw jestem, czy była w ogóle Europejką. W każdym razie łaciński temperament nie mógłby dostrzec nic chorobliwego w dotkliwym poczuciu utraconego honoru. Takie poczucie może być słuszne albo niesłuszne, można je też potępić jako sztuczne; możliwe, iż ludzi podobnych do mego Jima często się nie spotyka. Ale mogę z czystym sumieniem zapewnić swych czytelników, że Jim nie jest owocem chłodnych spekulacji myślowych. Nie jest również wytworem północnych mgieł. Ujrzałem raz słonecznym rankiem, jak szedł wśród zwykłego otoczenia wschodniej przystani – wzruszający, wymowny, tajemniczy... i niemy.

Takim właśnie powinien być mi się wydać. A do mnie już należało – z całym współczuciem, do jakiego byłem zdolny – znaleźć odpowiednie słowa dla wyrażenia jego istoty. Był to „jeden z nas”.

Rozdział pierwszy

Brakował mu cal – może dwa – do sześciu stóp wzrostu, był potężnie zbudowany, a gdy szedł prosto na kogoś, patrząc nieruchomo spode łba, z pochylonymi nieco plecami i wysuniętą głową, przypominał nacierającego byka. Głos miał głęboki, donośny; z zachowania jego przebijała jakby uparta pewność siebie, w której nie było nic agresywnego. Zdawało się, że ta pewność siebie jest nieunikniona, że się przejawia nie tylko w stosunku do innych, ale i do niego samego. Był nieskazitelnie czysty, ubrany w niepokalaną biel od trzewików aż do kapelusza, i w przeróżnych wschodnich portach, gdzie zarabiał na życie jako agent okrętowego dostawcy, bardzo był popularny.

Agent nie potrzebuje zdawać egzaminów z żadnego przedmiotu, ale musi posiadać zdolność kombinowania i wykazywać ją w czynie. Praca jego polega na ściganiu się łódką – żaglową, parową lub poruszaną za pomocą wiosł – z innymi agentami; chodzi o to, aby wyprzedzić wszystkich, dopaść okrętu, nim go zakotwiczą, przywitać się wesoło z kapitanem, wetknąć mu kartę – anons dostawcy okrętowego – gdy zaś kapitan wysiądzie na brzeg, zaprowadzić go niepostrzeżenie, lecz stanowczo do obszernego sklepu, przypominającego jaskinię pełną produktów, które się jada i pija na okręcie; można się tam zaopatrzyć we wszystko, co czyni statek pięknym i zdolnym do podróży: zarówno w komplet haków linowych, jak i książeczkę z pozłotą do rzeźbionych ozdób steru; a w sklepie tym dostawca okrętowy wita po bratersku szyprą, choć go nigdy przedtem nie widział. Czeką tam na gościa chłodny gabinet, fotele, napoje, cygara, przybory do pisania, egzemplarz przepisów portowych i ciepłe powitanie, które roztopia sól nagromadzoną w sercu marynarza podczas trzymiesięcznej podróży. Póki okręt przebywa w porcie, agent podtrzymuje przez codzienne odwiedziny nawiązane w ten sposób stosunki. Wierny jest kapitanowi jak przyjaciel, pełen synowskiej uwagi, a odznacza się przy tym cierpliwością Joba, altruistycznym oddaniem kobiety i wesołością dobrego kompana. Później posyła się dowódcy statku rachunek. Piękne to i humanitarne zajęcie. Toteż dobrzy pracownicy w tym fachu trafiają się rzadko. Gdy agent posiadający zdolność kombinowania ma w dodatku tę wyższość, że się zna z morzem, wówczas przynosi swemu chlebowodawcy moc

pieniędzy i zasługuje na względy. Jim zawsze miał dobrą pensję, a okazywano mu tyle względów, że można było za nie kupić wierność skończonego wroga. Tymczasem z czarną niewdzięcznością rzucał nagle swoje zajęcie i wyjeżdżał. Przyczyny, które podawał chlebodawcom, były oczywiście niedostateczne. Mówili o nim: „Dureń, psiakrew”, z chwilą gdy się odwrócił do nich plecami. Takie było ich zdanie o niezmiernej wrażliwości tego człowieka.

Dla białych ludzi pracujących w porcie i dla kapitanów różnych statków był po prostu Jimem – i niczym więcej. Miał naturalnie i nazwisko, ale chodziło mu o to, aby tego nazwiska nie wymieniano. Incognito Jima – dziurawe jak rzeszoto – miało ukrywać nie człowieka, lecz fakt. Kiedy ów fakt wychodził na jaw, Jim opuszczał nagle morski port, gdzie się wówczas znajdował, i udawał się do innego – zwykle dalej na wschód. Trzymał się portów, ponieważ był maNauczył się tam tarasowania górnych rei i trochę trygonometrii. Lubiono go ogólnie. Był trzecim w nawigacji i nadawał tempo wiosłując w pierwszym kutrze. Nie podlegał zawrotom głowy, a że miał przy tym bardzo silny organizm, wykazał dużo zręczności w pracy na masztach. Miał stanowisko manewrowe na marsie przedniego masztu. Patrząc stamtąd często w dół z pogardą człowieka, który ma błysnąć odwagą wśród niebezpieczeństw; ogarniał wzrokiem spokojne skupisko dachów, przecięte na dwoje brunatnym nurtem rzeki, i kominy fabryczne rozsiane po skraju okolicznej równiny, wznoszące się prostopadle na tle brudnego nieba; każdy z nich był smukły jak ołówek i zionął dymem jak wulkan. Jim mógł także oglądać odjazd wielkich okrętów, promy o szerokich belkach, sunące bez przerwy, małe czółenka hen, nisko pod stopami – a w oddali mglistą wspaniałość morza i nadzieję bujnego życia w świecie przygód.

Na niższym pokładzie wśród rozgwaru dwóchset głosów zapamiętywał się często, zawczasu przeżywając myślą życie marynarza na modłę lekkich powieści. Wyobrażał sobie, że ratuje ludzi z tonących okrętów, rąbie maszty wśród huraganu, że płynie u końca liny przez wzburzone fale; to znów zdawało mu się, iż jest samotnym rozbitkiem, półnagim i bosym, i chodzi po gołych skałach szukając skorupiaków, aby odpędzić śmierć głodową. Stawiał czoło dzikim na podzwrotnikowych wybrzeżach, uśmierzał bunty na pełnym morzu i w drobnym czółenku wśród oceanu budził ducha w zrozpaczonych ludziach – będąc zawsze wzorem obowiązkowości – niezłomny jak bohater z książki.

— Coś się tam stało. Chodźcie no!

Skoczył na równe nogi. Chłopcy wspinali się po drabinach. Na górnym pokładzie słyhać było gwałtowną bieżaninę i krzyki, a gdy Jim wydostał się przez luk, stanął jak wryty w oszołomieniu.

Był zmierzch zimowego dnia. Wicher wzmagął się już od południa, zatrzymując ruch na rzece, i dał teraz z siłą huraganu; jego wybuchy grzmiały jak salwy wielkich armat nad oceanem. Deszcz ciął ukośnymi pasmami, które to siekły, to znikały, a od czasu do czasu odsłaniał się na chwilę przed Jimem groźny widok kotłującego się nurtu, drobny stateczek podrzucany falami, miotający się wzdłuż brzegu, nieruchome budynki wśród pędzącej mgły, szerokie promy rozkołysane ciężko na kotwicy, obszerne pływające pomosty, które bujały się w górę i w dół, przesłonięte

bryzgami. Każdy następny poryw wichru zdawał się zmiatać to wszystko. Powietrze było pełne lecącej wody. Czuło się jakąś dziką celowość burzy, wściekłą zawziętość w huku wiatru, w brutalnym zgiełku ziemi i nieba; Jim miał wrażenie, iż to wszystko zwraca się przeciw niemu, i trwoga zaparła mu oddech. Stał bez ruchu. Zdawało mu się, że go wir jakiś porywa.

Potrącano go. „Kuter na wodę!” Chłopcy przebiegali koło niego. Przybrzeżny statek, chcąc się schronić u lądu, zderzył się z zakotwiczonym szkunerem; jeden z instruktorów okrętu był świadkiem tego wypadku. Chłopcy włązili tłumnie na balustradę, czepiali się gromadnie żurawików szalupowych. „Zderzenie. Tuż przed nami. Pan Symons widział.” Ktoś pchnął Jima, który zatoczył się na trzeci maszt i chwycił jakieś liny. Stary statek szkolny, przycumowany do beczki kotwicznej, dygotał cały, chyląc łagodnie dziób w stronę wiatru, a skąpy takielunek statku nucił głębokim, zdyszonym basem pieśń o jego młodości na oceanie.

„Na dół kuter!” – Jim ujrzał łódź z ludźmi opadającą szybko za burtę i rzucił się ku niej. Usłyszał plusk. „Puszczaj! Wyhaczyc kuter!” Wychylił się za barierę.

Rzeka wzdłuż statku wrzała pienistymi smugami. Dostrzegł wśród zapadających ciemności, że kuter miota się na jednej linii z okrętem, jakby urzeczony przez prąd i wiatr, które przez chwilę osadziły go na miejscu. Jim usłyszał niewyraźnie głos wrzeszczący na kutrze: „Równy, szczeniaki, jeśli chcecie kogoś wyratować! Równy!” A łódź wzniosła nagle dziób wysoko i skoczyła na bałwan z podniesionymi wiosłami, wyłamując się spod czaru rzuconego przez wiatr i prąd.

Jim poczuł, że ktoś chwyta go mocno za ramię. „Za późno, chłopcze.” Kapitan statku położył hamującą dłoń na Jimie, który – zdawało się – już, już skoczy za burtę. Chłopiec spojrzał na kapitana z bólem świadomej porażki w oczach. Kapitan uśmiechnął się życzliwie. „Następnym razem będziesz miał więcej szczęścia. To cię nauczy szybkiej decyzji.”

Wesoły okrzyk powitał kuter, który wracał, tańcząc po falach, napełniony do połowy wodą, z dwoma wyczerpanymi ludźmi miotanymi po belkach dna. Groźny huk wichru i morza wydał się Jimowi godny pogardy, zwiększając jego żal, że się dał zastraszyć ich pogrożkom. Teraz już wiedział, co myśleć o tym wszystkim. Zdawało mu się, iż burza nic a nic go nie obchodzi. Mógłby stawić czoło większym niebezpieczeństwom. I uczyni to – lepiej niż wszyscy inni. Nie czuł już ani odrobiny strachu. Jednak tego wieczoru trzymał się chmurnie na stronie, podczas gdy dziobowy kutra – chłopiec z dziewczęcą twarzą i wielkimi szarymi oczami – był bohaterem dolnego pokładu. Zapaleni słuchacze tłoczyli się wkoło niego, a on opowiadał:

— Widziałem tylko jego głowę wynurzającą się raz po raz i cisnąłem bosak do wody. Uwiąził w jego spodniach; myślałem, że wypadnę za burtę, i rzeczywiście ledwie nie wyleciałem, tylko że stary Symons puścił ster i złapał mnie za nogi – łódka o mało co nie poszła na dno. Stary Symons to byczy staruszek. Gderze na nas, ale niech go tam. Klął na mnie przez cały czas, co mnie trzymał za nogę, ale chciał tylko dać mi do zrozumienia, że nie wolno mi puścić bosaka. Stary Symons okropnie jest porywczy, prawda? Nie, to nie ten mały blondyn, tylko ten dryblas z brodą. Kiedyśmy go wciągali, jęczał: „Oj, noga, noga! Oj, moja noga!”, i przewracał oczami.

Pomyślcie tylko, taki wielki drab i mdłał jak dziewczyna! Czyby który z was zemdłał, gdyby go dziabnął bosakiem? Ja bym tam nie zemdłał. Bosak wszedł mu w nogę – o tyle. – Pokazał bosak, który przyniósł na dół w tym celu, i wywarł szalone wrażenie. – Ależ nie, cóż za bzdura! Bosak trzymał go za spodnie, nie za ciało. Tylko że naturalnie krew się lała okropnie.

Jim uznał to za nędzny popis próżności. Burza wywołała bohaterstwo równie pozorne jak jej udana groza. Jim był zły na brutalny zgiełk ziemi i nieba, ponieważ zaskoczył go znienacka i chytrze przeszkodził szlachetnemu popędowi do ratowania ludzi z groźnego niebezpieczeństwa. Skądinąd cieszyło go raczej, że się nie dostał do kutra, skoro pośledniejszy czyn wystarczył w danym wypadku. Jim pogłębił swe doświadczenie bardziej niż ci, którzy wykonali to zadanie. Dopiero gdy się wszyscy cofną ze strachu, wówczas – czuł to niezbitcie – on jeden potrafi zachować się jak należy wobec czczych grózb wiatru i morza. Wiedział, co ma o nich myśleć. Oglądane chłodnym okiem wydawały mu się godne wzgardy. Nie mógł już w sobie wykryć ani śladu wzburzenia i ostateczny skutek owego wstrząsającego wypadku był taki, że Jim – nie zauważony przez nikogo i trzymający się na uboczu od hałaśliwej rzeszy chłopaków – rozkoszował się wzmożonym poczuciem swej wszechstronnej odwagi i żądry przygód.

Rozdział drugi

Po dwóch latach szkolenia wyruszył na morze i dostawszy się w strefy tak dobrze znane swej wyobraźni, uznał, że są dziwnie z przygód wyjąłowane. Odbił wiele podróży. Poznał czarodziejską monotonią istnienia między niebem a wodą; musiał znosić ludzką krytykę, twarde wymagania morza i poziomą surowość codziennej roboty, która daje 'chleb – i której jedyną nagrodą jest doskonała miłość pracy. Ta nagroda go omijała. Ale cofnąć się nie mógł, gdyż nic tak nie nęci, nie rozczarowuje i nie przykuwa jak życie na morzu. Poza tym przyszłość Jima zapowiadała się korzystnie. Był dobrze wychowany, spokojny, zgodny, znał dokładnie swe obowiązki! i niebawem, jeszcze jako bardzo młody chłopiec, został pierwszym oficerem na pięknym statku, nie doświadczwszy nigdy tych wydarzeń na morzu, które dobywają na jaw wewnętrzną wartość człowieka, uwydatniają prawdziwe cechy jego usposobienia i rdzeń charakteru, które ukazują stopień jego odporności i tajną prawdę ukrytą pod pozorami – nie tylko innym, ale i jemu samemu.

Tylko raz jeden przez cały ten czas Jim dojrzał znów przebłysk zawziętości w gniewie morza. Ta prawda nie przejawia się tak często, jakby można było przypuszczać. Jest wiele odcieni w niebezpieczeństwie przygód i burz i tylko niekiedy oblicze faktów zdradza ponurą, gwałtowną celowość – to coś nieokreślonego, co narzuca umysłom i sercom przekonanie, że pewien splót wypadków lub furia żywiołu spada na człowieka ze złośliwą premedytacją, z nieogarnioną siłą z rozpętanym okrucieństwem, które chce wydrzeć człowiekowi jego nadzieję i jego strach, ból jego zmęczenia i tęsknotę za wypoczynkiem; które chce zmiażdżyć, zniszczyć, unicestwić wszystko, co widział, znał, kochał, czym się cieszył, czego nienawidził, wszystko, co jest potrzebne i bezcenne – blask słońca, wspomnienia, przeszłości które chce zmieść doszczętnie sprzed jego oczu cały drogocenny świat przez prosty i przerażający akt – przez zabranie mu życia.

Na samym początku tygodnia (o którym kapitan Jima, Szkot, zwykł był opowiadać: „Mówię wam, ludzie, to cud prawdziwy, że statek przeżył to wszystko!”) Jim został ugodzony spadającą reją; spędził wiele dni leżąc na wznak, ogłuszony, poturbowany, pełen zwątpienia i udręki, jakby na dnie niespokojnej otchłani. Wszystko mu było jedno, jak się to skończy, a w chwilach

przytomności przeceniał swą obojętność. Niebezpieczeństwo, kiedy go się nie widzi, ma mglistą nieokreśloność ludzkiej myśli. Trwoga staje się mętna; nie podsycana niczym wyobraźnia – wróg ludzi, źródło wszelkiej grozy – układa się do spoczynku w duszy stępiałej od nadmiaru wzruszeń. Jim widział tylko rozgardiasz w swej roztrzęsionej kabinie. Leżał tam, przykuty do miejsca wśród ciasnoty i spustoszenia, i czuł się w głębi ducha szczęśliwy, że nie potrzebuje wyjść na pokład. Ale od czasu do czasu niepokromiony napad trwogi chwycił go za gardło, tak że brakowało mu tchu i wił się pod kocami; bezsensowna brutalność istnienia, poddająca ludzi takim katuszom, napędzała go rozpaczliwą żądzą, aby się za wszelką cenę ocalić. Potem wróciła piękna pogoda i więcej już o tym nie myślał.

Jednakże kulał wciąż jeszcze, a gdy okręt przybył do jednego ze wschodnich portów, musiał iść do szpitala. Wracał do zdrowia bardzo powoli, przeto pozostawiono go w porcie.

Poza Jimem było tylko dwóch pacjentów w oddziale dla białych: płatnik z kanonierki, który złamał nogę spadłszy do luku, i jakiś niby dostawca kolejowy z sąsiedniej prowincji, dotknięty tajemniczą chorobą podzwrotnikową; uważał doktora za osła i oddawał się potajemnie leczeniu różnymi specyfikami, które jego służący, Tamil, przemycał z niezmordowanym poświęceniem. Pacjenci opowiadali sobie nawzajem historię swego życia, grali trochę w karty lub też, ubrani tylko w pidżamy, wylegiwali się całymi dniami na leżakach ziewając i nie mówiąc do siebie ani słowa. Szpital stał na wzgórzu; lekki powiew, wchodzący przez okna otwarte zawsze na oścież, niósł do pustych pokoi łagodność nieba, omdłałość ziemi, czarowny oddech wschodnich wód. Były w nim jakieś aromaty, zapowiedź bezgranicznego spoczynku, dar snutych bez końca marzeń. Jim spoglądał co dzień ponad gąszcz ogrodów, ponad dachy miasta i kępy palm rosnących na brzegu, na tę przystań, która jest szlakiem na wschód, na przystań oświetloną radosnym słońcem – z wieńcem wysepek, z okrętami jak zabawki – wspaniałą i ruchliwą niby świąteczne widowisko pod wiecznie pogodnym niebem, pośród uśmiechniętego spokoju wschodnich mórz ogarniających przestrzeń aż do horyzontu.

Z chwilą gdy Jim mógł już chodzić bez laski, zeszedł do miasta i zaczął szukać jakiejś okazji, aby wrócić do kraju. Nic mu się wówczas nie nastręczyło, czekał więc obcując, naturalnie, w porcie z ludźmi swego zawodu. Dzielili się oni na dwa rodzaje. Jedni, bardzo nieliczni i rzadko tam widywani, wiedli tajemniczy żywot, odznaczali się niepokromioną energią, temperamentem korsarzy i mieli marzycielskie oczy. Żyli jak gdyby w obłąkanym labiryncie planów, nadziei, niebezpieczeństw, przedsięwzięć, w awangardzie cywilizacji, wśród mało znanych zakątków morza; śmierć była w ich fantastycznych egzystencjach jedynym wydarzeniem, które się wydawało dorzeczne i pewne. Przeważnie byli to ludzie rzućeni tam przez przypadek – jak Jim – którzy pozostali na miejscu w charakterze oficerów na statkach krajowych. Mieli wstręt do służby na okrętach europejskich, w trudniejszych warunkach, służby nacechowanej surowszym pojęciem obowiązku, grożącej ryzykiem burzliwych przepraw przez oceany. Zestroili się z wiecznym spokojem wschodniego nieba i mórz. Lubowali się w krótkich podróżach,

wygodnych leżakach na pokładzie, licznych załogach złożonych z krajowców i wyróżnieniu, które należy się białym. Myśl o ciężkiej pracy przejmowała ich dreszczem; wiedli wygodne życie z dnia na dzień, gotowi zawsze rzucić jeden statek i przenieść się na drugi, służąc Chińczykom, Arabom, Metysom – byliby służyli chętnie i diabłu, gdyby dał im dość wygodne warunki. Rozmawiali bez ustanku o przeróżnych szczęśliwych zdarzeniach; jak to taki a taki został kapitanem statku na chińskim wybrzeżu – świetna służba; temu znów trafiło się dogodne miejsce gdzieś w Japonii, a tamtemu powodzi się świetnie w syjamskiej marynarce; we wszystkim zaś, co mówili – w ich czynach, w ich wyglądzie, w ich osobach – można było wykryć jakieś słabe miejsce, znamię upadku, upartą chęć, aby przeprożnować życie w spokoju.

Ta plotkująca czereda, oglądana oczyma marynarza, wydała się zrazu bardziej nierealna od zbiorowiska cieni. Ale z, czasem urzekł Jima widok tych ludzi, którym zdawało się tak dobrze powodzić, choć narażali się w bardzo małym stopniu na niebezpieczeństwo i ciężką pracę. Obok pierwotnej pogardy rozwinęło się zwolna w Jimie inne uczucie; i nagle, zaniechawszy powrotu do kraju, zaciągnął się jako główny oficer na statek „Patna”.

„Patna” był to miejscowy parowiec, stary jak świat, smukły jak chart i bardziej zżarty przez rdzę od wysłużonej kadzi żelaznej. Właścicielem „Patny” był Chińczyk, dzierżawcą Arab, a dowodził nią pewien Niemiec, renegat z Nowej Południowej Walii, bardzo pochopny do publicznego wymyślania na swój kraj rodzinny; miał fioletowy nos i rude wąsy, a wzorował się widać na zwycięskiej polityce Bismarcka, gdyż obchodził się brutalnie ze wszystkimi, których się nie bał, przybierając krwiożercze miny. „Patna” została pomalowana z zewnątrz i wybielona od środka, po czym wtłoczono na jej pokład ośmuset pielgrzymów, gdy stała pod parą u drewnianego mola.

Pielgrzymi sunęli na pokład trzema schodniami, nagleni wiarą i nadzieją raj, wśród nieustannego tupotu i szmeru bosych nóg, bez słowa, bez szeptu, nie oglądając się za siebie; wydostawszy się spomiędzy barier rozlewali się na wszystkie strony po pokładzie, ku przodowi i ku rufie, spływali w dół w ziejące luki, wypełniali wewnętrzne zakamarki statku – jak woda, która napętnia cysterne, sączy się w szpary, szczeliny i wzbiera cicho aż po brzegi. Ośmuset mężczyzn i kobiet, żywiących wiarą i nadzieję, przywiązania i wspomnienia, zebralo się tam, przybywszy z północy, południa i krańców wschodu, wędrując ścieżkami przez dżunglę, płynąc z biegiem rzek, sunąc wzdłuż mielizn na krajowych statkach, przeprawiając się w drobnych czółenkach od wyspy do wyspy, przechodząc różne udręki, patrząc na dziwne rzeczy, pozostając we władzy dziwnych obaw – a wszystkich podtrzymywało jedno pragnienie. Przybyli z samotnych chat stojących wśród puszczy, z ludnych kampungów, z nadbrzeżnych morskich wiosek. Na zew jednej idei opuścili swe lasy, polanki, opiekę swych władców, swój dobrobyt, swą biedę, krainę swej młodości i groby ojców. Przybyli okryci pyłem, potem, brudem, łachmanami – mężczyźni w sile wieku na czele rodzin, wychudli starcy dążący naprzód bez nadziei powrotu; młodzi chłopcy o nieulekłych oczach, rozglądający się ciekawie, trwożliwe dziewczątka o długich, poplątanych włosach, nieśmiało,

zakwefione kobiety, które cisnęły do piersi uśpione niemowlęta, okutane w luźne końce zbrukanych zasłon – nieświadomi pielgrzymi, posłuszni surowym wymaganiom swej wiary.

— Popatrz pan na to bydło – rzekł Niemiec, szyper, do swego nowego oficera.

Arab, przywódca pobożnych podróżników, zjawiał się na ostatku. Wkroczył zwolna na pokład, piękny i pełen powagi, w białej szacie i wielkim turbanie. Za nim postępował rząd sług obładowanych jego bagażem; „Patna” odcumowała i cofnęła się od wybrzeża.

Skierowawszy się między dwie małe wysepki przecięła na ukos kotwowisko dla żaglowców, zakreśliła półkole w cieniu wzgórza i przesunęła się tuż koło raf otoczonych pianą. Arab powstał ze swego miejsca na rufie i począł odmawiać głośno modlitwę dla podróżujących po morzu. Wzywał łaski Najwyższego dla pielgrzymki błagając Go, aby pobłogosławił znój ludzki i tajne zamysły serc; parowiec pruł w mroku spokojną wodę cieśniny – a hen w tyle za okrętem latarnia morska, umieszczona przez niewiernych na zdradliwej mieliźnie, zdawała się mrugać na „Patnę” płomiennym okiem, jakby szydząc z jej wyprawy natchnionej wiarą.

Statek przebył cieśninę, minął zatokę i jechał dalej w swą drogę przez przesmyk „Onedegree”. Sunął wprost na Morze Czerwone pod pogodnym niebem, pod niebem palącym i nie osłoniętym chmurami, obleczonym w słoneczny blask, który zabijał myśl wszelką, uciskał serce, wypalał wszystkie porywy siły i energii. A pod ponurą wspaniałością nieba morze błękitne i głębokie leżało spokojnie, bez ruchu, bez szmeru, bez zmarszczki – kleiste, bezwładne, martwe. „Patna” sunęła z lekkim sykiem tą świetlistą, gładką równiną i rozwijała po niebie czarną wstęgę dymu, zostawiając za sobą na wodzie białą wstęgę piany, która znikwała natychmiast jak widmo szlaku kreślone na martwym morzu przez widmo parowca.

Każdego rana słońce, jakby dotrzymując w swych obrotach kroku sunącej naprzód pielgrzymce, wyłaniało się z bezgłośnym wybuchem światła ściśle w tej samej odległości za rufą statku, dopędzało go o południu, lejąc skupiony żar promieni na pobożne ludzkie zamysły, mijało „Patnę” i tocząc się w dół, znikало tajemniczo w morzu wieczór za wieczorem, zawsze w tej samej odległości od sunącego naprzód dziobu.

Pięciu białych znajdujących się na statku mieszkało na śródokręciu, z dala od ludzkiego ładunku. Płócienna zasłona okrywała pokład białym dachem od dziobu do rufy i tylko słaby szmer, stłumiony gwar smutnych głosów, zdradzał obecność tłumu ludzi na wielkiej jasności oceanu. Tak upływały dni ciche, upalne, ociężałe, zapadając jeden za drugim w przeszłość, niby w otchłań otwartą zawsze na szlaku okrętów a „Patna”, samotna pod pasmem dymu, dążyła wytrwale w swą drogę, czarna i dymiąca wśród świetlistej nieskończoności, jakby spalona przez płomienie sypiące się z bezlitosnego nieba. Noce zstępowały na nią jak błogosławieństwo.

Rozdział trzeci

Cudowna cisza przenikała świat, a gwiazdy zdawały się słać na ziemię nie tylko pogodę swych promieni, ale i pewność wiecznego spokoju. Młody, wygięty księżyc, jaśniejący nisko na zachodzie, wyglądał jak cieniutki wiórek zheblowany ze złotej sztaby; Morze Arabskie, gładkie i chłodne dla oka niby płyta lodu, słało się idealną równią aż po idealne koło ciemnego widnokregu. Śruba kręciła się gładko, jakby jej rytm był jednym ze składników bezpiecznego wszechświata; z obu stron „Patny” dwie głębokie fałdy wody, nieprzerwane i ciemne na gładkiej, lśniącej powierzchni, zamykały między prostymi, rozchodzącymi się grzbietami nieliczne białe wiry piany pękającej z cichym sykiem, drobne falki i zmarszczki, które zostawały w tyle, wzburzając na chwilę powierzchnię morza po przejściu okrętu; po czym uspokajały się z łagodnym pluskiem, póki nie stopiły się wreszcie w cichość nieba i wody otaczającą w krąg czarną plamkę sunącego kadłuba, pozostającą wciąż w samym środku.

Jim stojąc na mostku pławił się w wielkiej pewności nieskończonego spokoju i bezpieczeństwa, które można było wyczytać ze spokojnego wyglądu natury, jak się czyta pewność opiekuńczej miłości na spokojnej, tkliwej matczynej twarzy. Pod płóciennym dachem spali pielgrzymi hołdujący surowej wierze, poddawszy się mądrości białych i ich odwadze, ufając potędze ich niewiary i żelaznej łupinie ognistego statku; spali na matach, na kocach, na gołych deskach, na wszystkich pomostach, we wszystkich ciemnych zakamarkach, zawinięci w barwione szmaty, okutani w brudne łachmany, z głowami wspartymi na małych zawiniątkach, z twarzami przyciśniętymi do zgiętych ramion: mężczyźni, kobiety, dzieci, starzy z młodymi, zgrzybiali z pełnymi sił i życia – wszyscy zrównani wobec snu, brata śmierci.

Lekki powiew ciągnący od przodu, wywołany biegiem parowca, niósł się spokojnie przez długą mroczną przestrzeń między wysokimi nadburciami i muskał rzędy wyciągniętych ciał; kilka przyćmionych płomieni w latarniach wisiało na krótkich linkach tu i tam u poprzeczek płóciennego dachu, a w mętnych kręgach światła, drgających z lekka w rytm nieustannej vibracji statku, ukazywały się czyjeś zamknięte powieki, zadarta broda, ciemna ręka z srebrnymi

pierścieniami, chude członki owinięte w podarte nakrycie, głowa odchylona w tył, goła stopa, szyja naga i wyprężona, jakby podająca się pod nóż. Zamożni urządzili dla swych rodzin schronienia z ciężkich skrzyń i zakurzonych mat; ubodzy spoczywali rzędem obok siebie, wspierając głowę na całym swym ziemskim dobytku, zawiniętym w gałgany; samotni starcy spali, podciągawszy nogi, na modlitewnych dywanach, z rękoma na uszach i łokciami po obu stronach twarzy; jakiś ojciec wsunął głowę w ramiona i zgnębiony, oparł czoło na kolanach, drzemiąc obok chłopca, który spał na wznak ze skołtunioną czupryną i ręką wyciągniętą nakazująco; kobieta, okryta od stóp do głów białym prześcieradłem – niby trup – trzymała po nagim dziecku w zgięciu każdego ramienia; pakunki Araba, spiętrzone po prawej stronie rufy, tworzyły przysadzisty kopiec o łamanych liniach; nad nimi wisiała latarnia, a w głębi majaczyły przeróżne niewyraźne kształty: połyskliwe brzuchy mosiężnych naczyń, podnózek od leżaka, ostrze włóczni, prosta pochwa starego miecza oparta o stos poduszek, dziób cynowego dzbanka do kawy. Log na tylnej barierze wydzwaniał miarowo jedno dźwięczne uderzenie za każdą milą przebytą w wędrówce nakazanej przez wiarę. Nad ciżbą śpiących przepływało niekiedy nikłe i cierpliwe westchnienie wyzionęte wśród zmaconego snu; a krótkie metaliczne dźwięki, rozlegające się nagle w głębiach statku – ostry zgrzyt szufli, gwałtowne trzaśnięcie drzwiczkami od paleniska – wybuchały brutalnie, jakby ludzie, obcujący z tajemniczymi przedmiotami tam w dole, żywili dziki gniew w piersi; zaś smukły, wysoki kadłub parowca sunął równo naprzód, bez najlżejszego kołysania się nagich masztów, prując nieustannie wielki spokój wód pod niedostępnym spokojem nieba.

Jim spacerował w poprzek mostka, a własne kroki rozbrzmiewały mu głośno w uszach wśród wielkiej ciszy, jakby odbite przez czujne gwiazdy; jego oczy błądzące po linii horyzontu zdawały się sięgać chciwie za czymś niedościgłym i nie dostrzegły cienia zbliżającego się wypadku. Jedyne cienie na morzu padały od czarnego dymu buchającego wciąż ciężko z komina olbrzymią chorągwią, której koniec rozplątał się ustawicznie w powietrzu. Dwaj Malaje, niemi i prawie nieruchomi, sterowali stojąc z dwóch stron koła, którego mosiężny brzeg połyskiwał częściowo w owalu światła padającego od pokrywy kompasu. Niekiedy ręka o czarnych palcach, puszczając i chwytając kolejno obracające się szprychy, ukazywała się na oświetlonej części koła; ogniwa łańcucha zgrzytały głośno w rowkach rury sterowej. Jim rzucał wzrokiem na kompas, potem rozglądał się wkoło po niedościgłym widnokręgu, przeciągał się, aż stawy trzeszczały, przeginając się leniwie od nadmiernego wprost pocucia błogości; i – jakby rozzuchwalony widokiem niewzruszonego spokoju – czuł; że nie dba o nic, co by go mogło spotkać aż do końca jego dni. Od czasu do czasu spoglądał leniwie na mapę przymocowaną czterema pluskiewkami do niskiego stolika o trzech nogach, stojącego za osprzętem sterowym. Arkusz papieru, odtwarzający morskie głębie, rozpościerał się jaśniejącą powierzchnią pod światłem ślepej latarki przywiązanej do stojaka – powierzchnią poziomą i równą jak połyskliwa gładź wód. Na mapie spoczywały linijki nawigacyjne i cyrkiel; położenie statku w południe było oznaczone małym czarnym krzyżykiem, a prosta linia, nakreślona pewną ręką aż

do Perimu, odtwarzała kurs – szlak dusz dążących ku świętemu miejscu, ku obietnicy zbawienia, nagrodzie wiecznego życia – ołówek zaś, oparty ostrym końcem o wybrzeże Somali, leżał okrągły i nieruchomy jak nagi maszt w basenie zamkniętego doku.

„Jak my spokojnie suniemy” – pomyślał Jim z podziwem, z czymś w rodzaju wdzięczności za ten wyniosły spokój morza i nieba. W takich chwilach myśli jego były przepełnione walecznymi czynami; kochał te swoje marzenia i sukcesy urojonych czynów. Były najlepszą częścią życia, jego tajną prawdą, jego ukrytą rzeczywistością. Cechowała je wspaniała męskość i urok czegoś nieokreślonego; sunęły przed nim bohaterskim krokiem, porywając za sobą jego duszę upojoną boskim napojem – bezgraniczną wiarą w siebie. Nie ma nic, czemu by nie potrafił stawić czoła. Tak się mu ta myśl podobała, że się uśmiechnął patrząc machinalnie ku przodowi statku; a gdy mu się zdarzyło spojrzeć w tył, widział białą smugę szlaku, kreśloną równie prosto przez kil okrętu, jak prosta była czarna linia narysowana ołówkiem na mapie.

Wiadra do popiołu hałasowały, przesuwane tam i z powrotem przez wentylatory palarni, a ten metaliczny dźwięk ostrzegał Jima, iż koniec jego wachty się zbliża. Westchnął z zadowoleniem, a zarazem z żalem, że będzie musiał się rozstać z tą pogodą, która sprzyjała awanturniczej swobodzie jego myśli. Był przy tym trochę śpiący i czuł, jak przyjemna omdłałość ogarnia wszystkie jego członki; zdawało mu się, iż cała krew w jego ciele przemienia się w ciepłe mleko. Szyper zjawił się bezszelestnie na mostku w pidżamie rozchełstanej szeroko na piersiach. Był na wpół rozbudzony; twarz miał czerwoną, lewe oko częściowo zamknięte, prawe idiotycznie wybałuszone i szkliste; zwiesił wielką głowę nad mapą i drapał się ospale po żebrach. Było coś plugawego w widoku jego nagiego ciała. Obnażone, pulchne piersi połyskiwały tłustością, jakby we śnie wypocił z siebie całe sadło. Wypowiedział jakąś zawodową uwagę głosem chrapliwym i głuchym, podobnym do drapiącego dźwięku piły trącej o krawędź deski; fałda podwójnego podbródka zwisała mu jak worek przywiązany tuż pod zawiasami szczęk. Jim drgnął, a jego odpowiedź pełna była szacunku, lecz wstrętna, opasła postać – jakby ujrzana po raz pierwszy w chwili objawienia – wyryła się na zawsze w jego pamięci niby wcielenie wszelakiej nikczemności i podłoty, czających się w ukochanym przez nas świecie; bowiem w głębi ducha ufamy, że nasze zbawienie leży w ludziach, którzy nas otaczają, we wszystkim, na co patrzą nasze oczy, w dźwiękach, które napęniają nam uszy, i w powietrzu wchłanianym przez nasze płuca.

Cienki, złoty wiórek księżyca spływał powoli, aż się zatracił w ściemniałej powierzchni wód, a wieczność poza niebem zdawała się do ziemi przybliżać ze wzmocnionym lśnieniem gwiazd i mrokiem, który się pogłębił w połyskliwej, na wpół przejrzystej kopule okrywającej płaską tarczę matowego morza. Parowiec płynął tak gładko, że ludzkie zmysły nie mogły uchwycić jego ruchu, jakby był zaludnioną szczelnie planetą śpieszącą przez ciemną przestrzeń eteru za rojem słońc, wśród groźnych i spokojnych pustkowi oczekujących na tchnienie przyszłych aktów stworzenia.

— Strach, co tam za upał na dole – rzekł jakiś głos.

Jim uśmiechnął się, ale nie obejrzał. Rozłożyste plecy szypra ani drgnęły; należało to do sztuczek renegata, że ignorował ostentacyjnie czyjąś obecność, jeśli nie uznał za stosowne zwrócić się do tego kogoś, zmierzyć go wściekłym spojrzeniem i zalać spienionym potokiem obelżywego żargonu, który tryskał jak ze ścieku. Teraz szyper ograniczył się do kwaśnego mruknięcia; a pomocnik mechanika u szczytu schodów mostka, miętosząc w wilgotnych dłoniach brudny gałgan do obcierania potu, wylewał w dalszym ciągu swoje żale, bynajmniej nie onieśmielony. Tu na górze dobrze się marynarzom powodzi i niech go kaczki zdepczą, jeśli wie, po co ci marynarze są w ogóle na świecie. Mechanicy, nieboraki, muszą, tak czy owak, statek w ruch wprowadzić, a przecież mogliby sobie poradzić doskonale i z resztą roboty; „jeszcze i jak, do jasnej cholery...”

— Stulić pysk – mruknął flegmatycznie Niemiec.

— Właśnie! Stulić pysk – a kiedy coś nie w porządku, to pędzicie do nas, prawda? – ciągnął tamten. I żalił się dalej, że jest na wpół ugotowany; ale za to teraz wszystko mu jedno, ile grzechów ma na sumieniu, bo przez te ostatnie trzy dni przeszedł porządny kurs wstępny do tego miejsca, dokąd źli ludzie idą po śmierci – porządny, bo porządny, żeby tak zdrow był – a w dodatku jeszcze ogłuchł jak pień od cholerycznego hałasu na dole. To podłe, przekłete zgniłe pudło, ten stary skraplacz, skrzypi tam i hałasuje jak stara winda pokładowa albo i jeszcze gorzej; a z jakiego powodu on, mechanik, naraża życie każdej nocy i każdego dnia – na gruchocie, który nadaje się tylko na złom i robi pięćdziesiąt siedem obrotów na minutę – tego wyjaśnić nie potrafi. Widać już się taki nieustraszony urodził, do jasnej cholery. Widać...

— Skądeś pan wódkę wytrzasnął? – spytał Niemiec, bardzo wściekły, lecz nieruchomy, w świetle padającym od szafki z busolą, jak niezgrabny wizerunek człowieka ulepiony z bryły tłuszczu. Jim wciąż się uśmiechał ku cofającemu się widnokręgowi; serce miał pełne szlachetnych porywów, a w myśli rozważał swą wyższość.

— Wódkę! – powtórzył mechanik z uprzejmą pogardą; jego ciemna postać, chwiejąca się na nogach, czepiała się oburącz bariery. – Nie od pana, panie kapitanie. Pan jest na to o wiele za skąpy, do jasnej cholery. Porządny człowiek skonałby u pańskich nóg, a nie dostałby ani kropli sznapsa. Wy, Niemcy, nazywacie to oszczędnością. Oszczędzacie pensy, a wyrzucacie za okno tysiące. – Mechanik stał się sentymentalny. Szef dał mu wypić naparstek, tak około dziesiątej – „jeden jedyny, żebym tak zdrow był!” Poczciwy starowina; ale gdyby przyszło wyciągać z koi tego starego franta, nawet pięciotonowy żuraw nic by nie poradził. Nie ma gadania. A w każdym razie nie dzisiaj. Szef śpi słodko jak małe dzieciątko, z butelką wyborowej wódki pod poduszką.

Z grubego gardła kapitana wydarł się niski pomruk, w którym dźwięk słowa Schwein przebijał się to nisko, to wysoko, jak kapryśne piórko w nikłym powiewie. Kapitan i główny mechanik byli kamratami już od dobrych kilku lat; służyli u tego samego jowialnego, podstępного starego Chińczyka, noszącego okulary w rogowej oprawie i czerwone jedwabne tasiemki wplecione w czcigodne siwe włosy warkocza. Nadbrzeżna fama w ojczystym porcie „Patny” głosiła, że ci dwaj – w

zakresie beczelnych sprzeniewierzeń – „dokonali razem mniej więcej wszystkiego, co się tylko da pomyśleć”. Na oko źle byli dobrani; jeden miał tępe, złe oczy i opasłe ciało o miękkich liniach; drugi był chudy, cały we wklęsłościach – o głowie długiej i kościstej niby u starej szkapy, o zapadłych policzkach, zapadłych skroniach i obojętnym, szklistym spojrzeniu zapadłych oczu. Wyrzucono go gdzieś na wschodnim wybrzeżu – w Kantonie, Szanghaju, a może i Jokohamie; prawdopodobnie nie zależało mu na tym, aby pamiętać dokładnie ową miejscowość ani też powód swej katastrofy. Ze względu na jego młody wiek wylano go po prostu z okrętu dwadzieścia lat temu lub więcej, a mogło się to dla niego o tyle gorzej skończyć, że wspominając ów epizod nie uważał go właściwie za nieszczęście. Potem gdy żegluga parowa rozwinęła się na tych morzach i ludzie jego fachu z początku trafiali się rzadko, powiodło mu się w pewnym znaczeniu. Miał zwyczaj skwapliwie informować obcych ponurym szeptem, że „zna te strony jak własną kieszeń”. Przy każdym ruchu tego człowieka zdawało się, że kościotrup kołaczę się w jego ubraniu; zamiast chodzić, wałęsał się po prostu, a miał zwyczaj wałęsać się tak bez ustanku po maszynowni naokoło luku świetlnego. Palił przy tym bez przyjemności fałszowany tytoń w miedzianej czarce na końcu wiśniowego cybucha długości czterech stóp, z głupkowatą powagą myśliciela wywodzącego system filozoficzny z mglistych przeblysków jakiejś prawdy. Zazwyczaj daleki był od szafowania swym prywatnym zapasem alkoholu; ale owej nocy odstąpił od tej zasady, tak że jego pomocnik, głupkowaty syn Wappingu, zaskoczony nieoczekiwanym poczęstunkiem i mocą alkoholu, stał się bardzo szczęśliwy, beczelny i rozmowny. Wściekłość Niemca z Nowej Południowej Walii była niezmierna; sapał jak miech, a Jim, ubawiony nieco tą sceną, oczekiwał z niecierpliwością chwili, kiedy będzie się mógł znaleźć na dole; ostatnie dziesięć minut wachty były irytujące jak działo, które się ociąga z wystrzałem. Ci ludzie nie należeli do świata bohaterskich przygód, ale niezłe z nich były chłopcy. Nawet sam szyper... Obrzydzenie zdjęło Jima na widok tej bryły dyszącego ciała, z której wydobywały się gardłowe pomruki – mętny strumyczek niechlujnych wyrażań: lecz błoga ospałość zanadto nim owładnęła, aby się mógł zdobyć na czynną antypatię w stosunku do czegokolwiek. Poziom tych ludzi był mu obojętny; ocierał się o nich, ale nic go nie obchodziło; oddychali tym samym powietrzem, lecz on był zupełnie inny... Czy też szyper rzucił się na mechanika?... Życie jest łatwe, a Jim taki jest pewien siebie – zanadto pewien siebie, aby... Granica dzieląca jego rozmyślanie od potajemnej drzemki na stojąco była cieńsza od nitki pajęcznej.

Pomocnik mechanika, zmieniając temat z łatwością, jął rozpatrywać swą materialną pozycję i swą odwagę.

— Kto jest pijany? Ja? Nie, nie, panie kapitanie! Nic podobnego. Powinien pan przecie już wiedzieć, że szef zanadto jest skąpy, aby spoić nawet wróbla, do jasnej cholery. Nigdy w życiu nie byłem wstawiony; nie wynaleziono jeszcze trunku, który by mnie spoił. Mogę pić płynny ogień, a pan będzie pił to wasze whisky – ja kieliszek, pan kieliszek – i pozostanę chłodny jak lód. Gdybym myślał, że jestem pijany, skoczyłbym za burtę i byłby koniec ze mną, do jasnej cholery. Tak! Od razu! A z mostka nie zejść. Gdzież pan chce, żebyśmy odetchnął świeżym powietrzem w

taką noc jak dzisiejsza, co? Na pokładzie, wśród tego robactwa? To akurat do mnie podobne! Nie boję się pana – co mi pan może zrobić!

Niemiec podniósł ku niebu dwie ciężkie pięści i potrząsnął nimi z lekka, bez słowa.

— Ja nie wiem, co to strach – ciągnął mechanik z zapalem i szczerym przekonaniem. – Nie boję się całej tej, psiamać, roboty na tym zgniłym pudle, do jasnej cholery! A jaka to dla was gratka, że są na świecie tacy ludzie jak my, co nie drżą o swoją skórę – bo gdyby nie to, ładnie byście wyglądali – i pan, i ten tu stary gruchot, co ma obicie jak z szarego papieru – zupełnie jak z szarego papieru, żebym tak zdrow był. Panu to dobrze – wyciąga pan ze statku moc pieniędzy na wszystkie sposoby; a ja – co ja dostaję? Parszywe sto pięćdziesiąt dolarów na miesiąc – i to bez utrzymania. Pytam ja się pana z całym szacunkiem, uważa pan, z szacunkiem – kto by nie kopnął takiej podłej roboty? Człowiek nadstawia karku, żebym tak zdrow był, oj, nadstawia! Tylko że ja to jestem chłop nieustraszony...

Puścił barierę i wykonywał szerokie gesty, jak gdyby demonstrując w powietrzu kształt i objętość swej odwagi; jego piskliwy głos sunął w przeciągłych skrzekach nad morzem. Chwilami robił krok naprzód lub się cofał dla lepszego uwydatnienia swych słów i nagle rymnął głową w dół, jakby go palnął kto z tyłu. „Psiakrew!” – mruknął padając; chwila ciszy nastąpiła po jego gadaninie; i Jim, i szyper potknęli się jednocześnie, odzyskawszy równowagę stali bardzo sztywno, patrząc wciąż w zdumieniu na niezamąconą gładkość morza. Potem spojrzeli w górę na gwiazdy.

Co to się stało? Maszyny dudniły i sapwały bez przerwy. Czy ziemia zatrzymała się w biegu? Nie mogli nic zrozumieć; i nagle spokojne morze, niebo bez jednej chmurki wydały im się straszliwie niepewne w swym bezruchu, jak gdyby się ważyły nad krawędzią zięjącej zatury. Maszynista zerwał się na równe nogi i opadł znów jak bezkształtna masa; dobiegło z niej stłumione pytanie pełne głębokiej troski: „Cóż to znowu?” Przebrzmiał zwolna słaby odgłos niby grzmotu, niezmiernie odległego grzmotu – czegoś, co było słabsze od dźwięku i zaledwie mocniejsze od drgnienia – a statek zadrżał w odpowiedzi, jakby ów grzmot zawarczał gdzieś w głębi wody. Oczy Malajów u koła błysnęły ku białym, lecz ciemne ich ręce pozostały zamknięte na szprychach. Zdawało się, że ściży kadłub, sunący w swą drogę, podnosi się kolejno o parę cali przez całą długość – jakby się stał giętki – po czym osiadł znów sztywno, wracając do pracy, i w dalszym ciągu pruł gładką powierzchnię morza. Drżenie kadłuba uspokoiło się, a nikły odgłos grzmotu nagle ustał, jakby statek przebył wąski pas rozedrganej wody i dudniącego powietrza.